

Jacek Dehnel

Nieznajoma z Sekwany

*(monodram, napisany – ze względu na fizyczne podobieństwo –
z myślą o Bartoszu Bieleni)*

Kiedy tak leżę, umarła, cały czas coś mi się przypomina. W ogóle dużo myślę. Jak na kogoś, u którego zachodzą procesy obumierania i gnicia tkanki mózgowej, to powiedziałabym, że nawet bardzo dużo.

Takie zwykłe sprawy, jak gdzieś szłam, jak się schylałam, jak niosłam skopek z mlekiem ze stodołki do domu, jak do praczki kosz targałam, no że czasem to normalnie jakbym czuła, jak mi się tak brzeg koszyka o tu, w biodro wbija i ramię cierpnie. Rzeczy mi się przypominają: kozik, którym obierałam jabłko, i skórka jabłka, długa, długa, okolnie obierana, cieniutka; potem z taką skórką długą trzeba wyjść boso, wyjść boso, po rosie, nocą, oj, nocą, rzucić za siebie, a ułożyć się w pierwszą literę imienia tego, co dziewczynie przeznaczony. Ale nic nigdy mi się nie ułożyło, bo to i zabawa dla tych, co czytać umieją. A ja co, boso pójde po nocy, na ziąb, a i tak się nie dowiem, że na R literę będzie moja miłość i zatura moja.

Ale rzeczy, rzeczy. Człowiek póki żyje, to nie wie, że ciągle patrzy na rzeczy, a powinien może na ludzi. I że z kolei jak na ludzi patrzy, to albo akurat go osztorcowują, albo mówią jakieś przykre słowa, albo się o co targują, że może nawet wtedy lepiej popatrzeć na jakąś rzecz. Na buty na przykład. Na noski butów, wiadomo, znoszonych, ale to i ciekawiej. Jak kto bogaty, ma buty wyglancowane, to nie ma na czym oka zawiesić, a na takich człapakach tu

plamka, tam pęknięcie, jest czym głowę zająć. Do tego ta głowa spuszczone, jak się na te noski butów patrzy, to wtedy tym krzyczącym trochę mija i można już pójść sobie gdzie indziej, do innych zajęć pójść sobie można.

Po śmierci odpoczniesz, mówili. Dobre sobie. Teraz to przynajmniej pusto, ale za dnia! Czasami to się tak pchają, że tylko się modłę, żeby te szyby nie poszły w drobny mak. Ech, co mi tam, nie ja będę sprzątać, ja już jestem poza takimi zajęciami. Leżę. Zresztą do mnie to wcale aż tak się nie pchają, tylko trochę, do tamtej więcej, a najbardziej do tamtego w kącie, co ma na udzie ciętą ranę od noża, głęboką, mocną ręką zadaną. Sam też zresztą mocny, ale na udo mocnych nie ma, krew od razu sika i w minutę jest nieboszczyk. Znaleźli go w takim zaułku za Halami, jak przytargali to zimny już był, położyli... i do niego jest chyba największy tłum, bo publika okrutnie rany lubi.

A największe święto to jak dziecko. Był taki aniołeczek z Rue de Vertebois, niedaleko placu Republiki. Cztery latka może, jeden siniak na głowie – i tyle. Dziewczyneczka. Posadzili ją w tej perkalowej sukience, jak dużą lalkę. No co to się działo! Tak mówię, ale sama tego nie widziałam. To znaczy: ja żywa. Nie przyszłam, inne miałam rzeczy na głowie. Ale sto tysięcy ludu przyszło. Sto pięćdziesiąt. No każdy jeden w Paryżu chciał zobaczyć, żebrak czy hrabina. Tłum, bo na to wszystko jeszcze sprzedawcy karmelków, wstążek, napastrków, glinianych okaryn, jakby ktoś właśnie przed kostnicą koniecznie chciał zagrać na okarynie. Ale co? Kupowali i grali z nudów. Tam, na ulicy to kapelusze strącali, grzmocili się laskami po grzbietach, parasolkami po koronkach. Jedną starą wdowę to prawie zdeptali, ledwie żywa wyszła, a i tak sobie chwaliła. „Jeszcze – mówi – coś przed śmiercią ciekawego zobaczyłam,

a pamiętam defiladę Napoleona!” . Znowu taka żona aptekarza to stała, stała, odsuwali ją na bok, stała, tłum ją wyciągał, a ona znów do ogonka, że jak już weszła na powrót, to wszystko robiła, żeby jak najdłużej na tę dziewczynkę z Rue de Vertebois patrzeć, aż posłano po policjantów, żeby ją rozpytali na okoliczność. A ona była tylko czułego serca, i tyle.

*

Nie wiedziałabym tego wszystkiego... wiadomo, dziewczyna z prowincji, uczę się dopiero wielkiego świata, tych powozów, teatrów, kabaretów, tych kostnic... nie bardzo wiadomo po co się uczę, do czego by mi się to mianowicie miało przydać w tak zwanej zaistniałej obecnie sytuacji, ale się uczę... no i nie wiedziałabym, jak mówię, tego wszystkiego, gdyby nie ten pomywacz, co tu przychodzi i do nas gada.

Stary, samotny, to pogadać lubi. No aż by się chciało mu czasem odpowiedzieć, ale człowiek się opanowuje, bo on swoje lata ma, mogłoby się to dla niego źle skończyć. Więc leżę tak sobie, umarła, i spokojnie go słucham, jak my wszyscy. I od niego to właśnie wszystko wiem. „Wy to – mówi – szczęście macie, szczęście, że dopieroście teraz poumierali, przy tych wszystkich wygodach. Kiedyś to tu taka rura górą szła, nad każdym trupem kranik, i ciurkała zimna woda, żeby się gniło wolniej. Niechlujne wszystko takie, nienowoczesne. No a teraz światło elektryczne, zupełna nowość, zupełna. Jak w tym świetle się – mówi – wygląda!”

Sama nie wiem, dobrze wyglądam? Jak ja wyglądam? Korzystnie? Pan się uśmiecha, wesoło panu. No dobrze, ale tam, gdzie pan, jest ciemno, a ja tu

pod lampą elektryczną najnowszej produkcji. I jedyne, co mi zostało, to ciało i to, jak ono wygląda. Tylko tym jestem, przejściowo. Niby mamy nowy system chłodzenia, bardzo elegancko, ale chłodzenie siebie, a plamy opadowe sobie. Ładna zawsze byłam, z tej mojej ładności cała zatrata moja przyszła.

*

A światło elektryczne to dzięki prefektowi policji załatwione. Tak pomywacz mówi. Oni tam wierzą, że jak przyjdzie tu zabójca, czy to sam, bo go do trupa ciągnie, czy to schwytyany i siłą doprowadzony, to widząc trupa – i swoją winę zobaczy. I wstrząśnienie w nim nastąpi. Brrrrrr. Wstrząśnienie takie. Moralne. No, ja tam nie wiem, podobno nieczęsto to się zdarza, ale błogosławieni, co nie widzieli moralnych wstrząśnień, a uwierzyli.

Przyprowadzają takiego, widać, że cwany, zębkiem białym z uśmiechu błyska zalotnie, rozgląda się po reszcie publiki, po młodych dziewczynach, a czasem nawet i po jakiej starszej żonie epicera, byle oczko puścić. Stawiają go przed szybą, rozsuwają pluszowe kotary, patrzy, patrzy przez kryształowe szyby i mówi: „Nie znam.” A my tu wszyscy wiemy, że to jego robota, a człowiek się odezwać nie może. Ani mru mru. No nie jest to sytuacja, w której czuję się komfortowo. Zupełnie poza sferą mojego komfortu, muszę powiedzieć. Tak czy owak, w prefekturze uznali, że światło elektryczne jest mocniejsze i będzie skuteczniej powodowało dreszcz moralny, więc je zainstalowali. I teraz w takim leżę, choć mnie akurat nikt nie zamordował. Powiedzmy.

*

To jak, korzystnie, niekorzystnie? Sama nie wiem. Pocałowałby się pan ze mną? Nie no, tak ogólnie pytam, dla koleżanki. Zrobmy takie... *poczyńmy...* poczyńmy takie założenie, że nie jestem akurat w tej chwili zwłokami i nie interesuje nas pański osobisty stosunek do tabu nekrofilii, co? Czysto teoretycznie. Pan nie siedzi na widowni, ja nie leżę na kamiennej płycie w paryskiej kostnicy miejskiej. Pocałowałby się pan ze mną?

No, dziewczyna wie, że po takim pytaniu unikanie odpowiedzi też jest odpowiedzią.

Ale całowali, całowali, dalej całują. Mówi się, że jestem najbardziej całowaną kobietą świata.

Bardzo przepraszam, ale tego zdziwienia na twarzach to ja nie odbieram jako komplementu.

ResusciAnne, najpopularniejszy fantom do ćwiczenia sztucznego oddychania. Asmund Laerdal, Norweg, producent drewnianych zabawek, w 1951 roku wyłowił z wody swojego dwuletniego synka, Tore, i dzięki resuscytacji ocalił mu życie. Siedem lat później zaczął projektować gumowe manekiny do ćwiczenia oddychania usta-usta, z moimi ustami, z moją twarzą... co uważam jednak za pewną ingerencję w moją prywatność... których używać zaczęto w 1960 roku, a reszta jest historią.

Jest historią majowych popołudni na lekcjach przysposobienia obronnego, zapachu zleżalej gumy w zakurzonych klasach, milionów hormonalnych żartów, które opowiadają sobie półgłosem zapryszczeni licealiści. „Dajesz, misiek, dajesz, wszyscy wiemy, że jesteś prawiczkiem, ale na kimś musisz potrenować.” albo „No już, już, nie podniecaj się tak, bo obśliniasz” , no

mogłabym to z pamięci cytować godzinami, ale może sobie daruję, w sumie pani w trzecim rzędzie też daruję, bo stąd widzę, że aż się skurczyła. A to latami leci, bez przerwy. Z przerwą wakacyjną niby, ale wtedy zajęcia z ratownictwa na obozach harcerskich i dokładnie to samo. Zjeździło się kawał świata. Jako kawał gumy.

*

Najpierw jednak był gips. O, chyba jeszcze tu mi została taka pecynka mała za lewym uchem, a nie, już widać odpadła. Za życia jest więcej kłopotu, trzeba jakieś rurki do nosa wstawiać, albo do ust, przez co się ma na masce krzywą gębę... nieoddychanie wszystko to znacznie ulepsza. Nie ma to, jak nie oddychać, jeśli chodzi o zdejmowanie odlewów. Raz, dwa, trochę przygładzić włosy, żeby ich potem nie wyrwało, wymieszać w odpowiednich proporcjach i można nakładać. Miłe, chłodne, jak woda w rzece, jakbym się znów zanurzała, tylko miękko, spokojnie. Nie wiedziałam, że gips grzeje jak zastyga. Jasne, jak człowiek nie żyje, to w sumie nie wiadomo, czy się cieszyć z ciepła, czy nie cieszyć, ale wężu na szczęście już nie mam, to co się będę przejmowała, mogę się rozkładać. Jest jak jest, biologii nie oszukasz.

Ja wiem, ja wiem. To jest bardzo romantyczna historia, i tak dalej. Że młody lekarz spędzał noc, taką jak ta, właśnie tu, w kostnicy, akurat mnie tu przywieźli, wyłowioną z Sekwany, młodziutką dziewczynę, leciutko uśmiechniętą, że się zachwycił tym moim uśmiechem i postanowił zdjąć odlew.

No takie kawałki, proszę państwa, to w moich czasach opowiadało się sobie bez najmniejszej ironii. Ale potem przyszły te tak zwane dyskursy i to jest już bardzo problematyczne. Bardzo. Przychodzi Freud i pyta, co to mianowicie

znaczy, że młody lekarz, mężczyzna, zdejmuje ze mnie odlew, że bierze moje nieżywe ciało w posiadanie, zachwycony moją, no jednak, proszę państwa, urodą, co pozwala postawić kilka kolejnych pytań, zatrącających o, niech padnie to słowo, tabu. Przychodzi rozwinięty marksizm i pyta, jakim prawem wykształcony przedstawiciel klasy średniej bierze bez żadnego pytania moje ciało, służącej, proletariuszki, zdejmuje odlew, po czym fabrykanci ten odlew masowo reprodukują, można go kupić w trafice między tytoniem egipskim a losem na loterię, więc wisi sobie w pracowniach malarzy, w pokoikach melancholijnych poetów, pojawia się na obrazach, na plakatach, generuje kapitał, pomnaża go, a ja z tego nie mam ani złamanego centyma. Przychodzi dyskurs feministyczny, fala za falą, jak fale Sekwany, i zapytuje raz za razem, czemu mężczyźni zależy na tym, żeby mnie uprzedmiotwić, żeby zrobić ze mnie wiecznie zadowoloną, wieczyście uśmiechniętą lalkę, tym uśmiechem potwierdzającą, dla jego dobrego samopoczucia, że nie mam nic przeciwko, że sprawia mi niesamowitą wprost przyjemność, że jest najlepszy, serio, jedyny i najlepszy, no po prostu lepszych nie ma, tak, tak, tak, ogierze!

I takie tam.

Ja leżę i udaję, że nic mnie to nie obchodzi, że mnie to ani ziębi, ani grzeje. Ale widać, że się uśmiecham, nie? Co się nauśmiecham, to moje.

*

Kiedy tak leżę, umarła, cały czas coś mi się przypomina. Z tego życia. Że tak szło, szło, i tyle w nim było ludzi i rzeczy, i dni. Myślę, że ze mnie to jednak szczęściara – co ja się świata naoglądałam! Sam ten Paryż! Gdzie by tam z moich stron do Paryża, mało która się odważyła. Jak nawet nie zostawała przy

rodzicach, tylko szła na służbę, to czasem albo blisko naszej wsi, w miasteczku, albo nieco dalej, ale jednak w okolicy, wiadomo. Ta do żony adwokata, tamta do kupcowej, co, wiadomo, gorzej, bo rano do sklepu zapędzą, a wieczorem drugie tyle trzeba robić w domu. Najgorzej zaś do wdowców, bo panicza można skrzyknąć, panu zagrozić, że się pani powie, a wdowiec co? Jeśli tylko nie jest taki skurczony, wysuszony, że trzy ćwierci do śmierci, to od razu z łapami. Zresztą i skurczony, bywa, rechoce, że dąb stary, ale korzeń zielony. W sąsiednim miasteczku podobno jedna nawet wzięła ślub z takim, a potem szybko się zawinął i odziedziczyła po nim sklep i warsztat, ale na taką jedną fartowną to ile innych? Się wie.

Tyle, że jak już tu wszystkie dziewczyny się ponajmowały, tam wszystkie, w żadnym bogatym domu nikomu nikogo nie było trzeba, to akurat dla mnie już nic nie zostało. Mało która by się tak wyprawiła, jak ja – ot, ślub wezmie, dziecka urodzi. A ja zawsze byłam świata ciekawa. Com tam miała uskładane, tom miała, i do Paryża. Przygoda życia, nie? No, końca życia też, się okazało. Ale tego to jeszcze nie wiedziałam, i o tym, co miał imię na R, o całej mojej ztratcie nic, nic nie wiedziałam.

I teraz, kiedy tak leżę, umarła, to sobie czasem tak myślę, przynajmniej dopóki nie nastąpi zupełny rozkład tkanki mózgowej, czy gdybym wiedziała już wtedy, to bym pojechała? Czy nie pojechała?

To nie jest tak łatwo odrzucić całe życie, mówię sobie, a potem myślę, dziewczyno, o czym ty mówisz tak naprawdę?

Bo kiedy bym je niby odrzucała?

Czy wtedy, com wsiadła na furkę i pojechała do miasteczka, a z miasteczka dalej i dalej, aż do Paryża, do pani Fourier, do pani Beaumont, do

państwa Caron, do mojego R i zatury, co z tego przysła?

Czy moze gdybym na tę furkę nie wsiadła, tylko została, siadywała wieczór w wieczór przy robieniu koronek, rano wstawiała do zwierząt, w południe jadła, wzięła ślub z kimś, kto w ani jednej rzęsie, ani jednym włosku na brodzie nie przypominałby R, a potem miała z nim dziećka: pierwsze, drugie, trzecie, piąte, które by czasem rosły, czasem chorowały, a czasem marły, jak to dziećka, i gdybym przy nim obrastała w rzeczy, we wstążki do czepeca, w fajansowe talerze, na których pięknie wyobrażono całą historię Dziewicy Orleańskiej albo cesarza w Egipcie, w Rosji, na Elbie, gdybym się marszczyła, gdyby mnie gniołło i uciskało, gdybym żyła i żyła, oglądała te wszystkie dziwy, co jeszcze mają przyjść, i w końcu umarła, mała i poźółkła, z oczami tak zblakłymi, że prawie białymi, obrysowanymi czerwoną obwódką?

To jest, to *było* moje prawdziwe życie: krótkie, z Paryżem, z R, aż po ten skok z mostu, nie odrzuciłabym go za nic, za nic.

*

Kiedy serce jest głodne, zjadłoby wszystko. Nie, żebym chciała myśleć o R po tym, jak już mnie rzucił; przeciwnie, jak miałam chwilę odpoczynku nad dzieżką czy w spizarce, albo jakim w łóżku przed zaśnięciem leżała z zamkniętymi oczami, to wszystko robiłam, żeby o nim nie myśleć, ale wtedy nie ma myślenia, tylko udręczone, wielkie niemyślenie. A takie niemyślenie to zupełnie co innego, niż nic. To niemyślenie było całe o nim. I tak mijały mi długie nocne godziny, leżałam z oczami zamkniętymi, to znów otwartymi, i tak niemyślałam o nim, że cała moja służbówka była jego pełna, jakby go nasypać,

drobinkami, okruszkami, pod sam sufit, że wszędzie się wciśnie. A potem rano, półżywa, zasypiająca na stojąco, aż pani Caron coś rzuciła niecierpliwie, że taka ze mnie mucha w smole i w ogóle co się z tobą dzieje, dziewczyno?

Ale nawet kiedy miałam czymś głowę zaprzątniętą, na przykład szłam przez miasto z koszykiem albo prałam czy zmywałam, to wtedy też zawsze sobie znalazł sposób, żeby do tej głowy wleźć. Bo jakiś malarz szedł z drabiną i miał kubrak dokładnie takiego koloru, jak on. Bo gruba praczka, oparta o parapet rękami całymi białymi od moczenia w wodzie, jak wielkimi szynkami, krzyczała „R! R! R!” , żeby jakiś mały R w krótkich spodniach, z jedną szelką odpiętą i majtającą się w biegu, przyleciał do domu na obiad. Ilu ludzi w Paryżu, ilu ludzi we Francji, na całym świecie nazywa się R? I pomyśleć, że każdy z nich umie sprawić, że myślę akurat o tamtym. Albo ktoś na targu czy na ulicy mówił, że nie lubi sera z Owernii, albo że ma ciotkę w Aurillac i moje serce rzucało się na ten strzępek. Albo wystarczyło, żeby jakiś tragarz pod dworcem, zgięty pod ciężarem kufra, krzyknął choćby słowo do drugiego tragarza z tym owerniackim zaśpiewem – i nagle ten stary w poplamionej bluzie, ze zwisłym, siwym wąsem, był moim R, wyprostowanym, długorzęsym, stojącym na środku ulicy z dłonią uniesioną lekko, bo zaraz będzie nią przeczesywał włosy.

Kiedy serce jest głodne, zjadłoby wszystko. Jak drwal, co wrócił z lasu, cały urobiony po łokcie, z pęcherzami na rękach od styliska siekiery. I w dni, w które nie słyszałam nikogo mówiącego w owerniackim *patois*, ani drogi nie przeszedł mi nikt, kto nosiłby głowę tak lekko, albo miał takie same ciemne loki, długie i ciężkie, które lubiłam brać w dłonie jak ptasie gniazdo i czuć ich ciężar, wtedy serce jadło cokolwiek. Kit z okien, tynk ze ścian, szczepki drewna, żwir; serce się krztusiło i żarło dalej. Myślałam o nim, bo ulicą szedł ktoś w

marynarskiej bluzie, jakiej on nie miał i nigdy mieć nie będzie; myślałam o nim, bo przez okno zobaczyłam staruszkę w wielkim, nastroszonym czepcu, wpatrzoną w krucyfiks pod szklanym kloszem: i ani w niej, ani w tym spojrzeniu nie było nic, co by mi jego przypominało. Inne imiona, które zaczynały się na R albo w inne imiona, które nie zaczynały się na R. Inne kolory ubrań i włosów, inne gesty i inne słowa. Nie było rzeczy w całym świecie, która nie mogłaby mi go przypomnieć mojemu wygłodniałemu sercu, napychającemu się żwirem, kurzem, trocinami.

Kiedy pani Caron zabrała mnie ze sobą, wyjeżdżając na wieś na lato, chciałam wziąć ten lok, co mu go kiedyś ucięłam, żeby go nosić w jakimś zachowanku z całą tą moją boleścią, bo wtedy już mnie nie kochał. I tak wyjmowałam z mojej skrytki za deseczką, to znów chowałam, aż w końcu mówię sobie: nie, nie biorę, bez tego kosmyka pojedę, co mi tam siedzieć, zgarbionej, nad tym kosmykiem i się smucić. Ale potem, kiedy już przyjechałam na miejsce, brakowało mi go i myślałam o tym, jak leży samotnie w służbówce, za deseczką ukryty, czy może go jakaś mysz nie ukradła do wyściełania nory małym, czy go kto nie znalazł i nie wymiótł? Zamiast chodzić po ścianach z tęsknoty do R, chodziłam po ścianach z tęsknoty do tego loku, com mu go kiedyś ucięła, kiedy spał, małymi nożyczkami do robótek, które czasami brałam ze sobą jak na niego czekałam, żeby czasu nie marnować.

*

To nie jest żadna porywająca historia, niech państwo tu nie oczekują nie

wiadomo czego, fajerwerków, rewii cudów. To jest zupełnie zwykła historia paryska o tym, jak służąca z Bretanii się zakochuje w stajennym z Owernii, a stajenny z Owernii w służącej z Bretanii, potem zaś on przestaje ją kochać, a ona kochać nie przestaje. Tu nie ma żadnych, proszę państwa, nieoczekiwanych zwrotów akcji, tu nie ma pościgów konno w burzy z piorunami, przy ruinach zamczyska, tu nie ma markizy, która usuwa rywalkę bukietem zatrutych kwiatów. Tu jest stanie przy stolnicy, wałkowanie i patrzeć w okno. Tu jest myślenie o jakimś oku, o ciężkich lokach, które komuś wydają się najpiękniejsze na świecie, ale komu innemu – zupełnie niepiękne. Byliśmy zwykli i mieliśmy zwykłe ciała, które działały tak, jak ciała mają w zwyczaju.

Ostatecznie, wszystkie te historie są sobie równe, piękne i brzydkie zarazem, z markizą czy bez.

*

Ja wiem, to nie jest rozsądne: zabijać się z miłości. Żeby mnie ktoś spytał, „No powiedz, czy ty byś sobie z tej miłości odcięła ramię?” , to przecież, głupio powiedzieć, ramienia bym dla niego nie poświęciła. Nawet gdyby to nie miało nic, a nic zboleć. Ani ręki w łokciu, ani dłoni, nawet najmniejszego palca. Nie obciąłabym sobie dla R nawet małego palca, niech te słowa tu padną.

Ale obciąć całą siebie, przeciąć całe życie, to już jest inna rozmowa. I często tak sobie, zasypiając, leżałam, i myślałam o tej chwili, jak już będzie *po*. Spłynę Sekwaną do morza, będą mnie gdzieś jadły morskie ryby i wielkie, tłuste węgorze, i wszystko to będzie mi obojętne. Ale on gdzieś tam się dowie. Przyleci któraś na pole, gdzie będzie stał, rozgrzany, ze strużką potu spływającą

pod koszulą po karku i dalej, wzdłuż kręgosłupa, aż po to wgłębienie w dole pleców, które w *patois* ma swoją śmieszoną nazwę, jak wszystko; przyleci któraś, kto wie, może jego żona czy narzeczona, czemu nie, może nawet ją znam z opowieści, może ją znał od małego, i będzie do niego wrzeszczała aż od między, z owerniackim zaśpiewem: „Ta twoja się zabiła w tym Paryżu, co to z niego wróciłeś, utopiła się!” , tak będzie wrzeszczała, i głowy będą się podnosiły na całym polu, głowy żeńców, sunących z sierpami w dłoniach, przystających, prostujących plecy, a jemu będzie tak strasznie, strasznie smutno, że poczuje, jakby wpadał właśnie w lodowatą wodę, i oczywiście aż do śmierci, za wiele, wiele lat, niech mu Bóg da zdrowie, będzie ten dzień pamiętał, i tę kroplę potu, płynącą wzdłuż kręgow, i ten krzyk od między.

Tak sobie myślałam, choć przecież wiedziałam, choć przecież nadal wiem, że wcale tak nie będzie. Że nikt raczej tej wiadomości z Paryża nie przyniesie, ani do mojej, ani do jego wsi... ostatecznie matce może, ale ona zamknie się w sobie i nikomu się nie będzie do takiej sromoty przyznawać, najwyżej, jak zapytają, powie, że w Paryżu na jakąś miejską chorobę mi się zmarło. I zaraz po tym usta zasznurowuje. Ani słówka. Ale niechby i ktoś tam do niego przyniósł, niechby i ta dziewczyna, ta może żona czy narzeczona, biegła, aż by się jej warkocz w biegu rozplątał lekko i trzy jego pasma podskakiwały na ramionach, niechby krzyknęła, niechby mój R, jej R, wyprostował się na ten krzyk, od między dolatujący. Przecież on nic z tego nie zapamięta. Może dzień, dwa, tydzień, i tyle. Nie będzie do mnie wracał. Odcięta od życia w całości, od stóp do głów, nie będę do niego cała wracała więcej, niż gdybym odcięła sobie tylko mały palec.

A jednak to zrobiłam. Stałam na moście, rozejrzałam się, zupełnie

spokojnie, ale był środek nocy, kto miał przejść, przeszedł już dawno... chwyciłam się balustrady, podciągnęłam, stanęłam na krótką chwilę, wysoko, tak że mogłam przyjrzeć się czarnemu wąwozowi rzeki, rozdzielającemu miasto, i wieżom, i dachom na tle nieba, i skoczyłam.

Dobrze. Niech sobie nie pamięta, niech i tak będzie. Ja odmawiam tego życia, w którym go nie ma, nie jest mi ono do niczego potrzebne, jest jak stary łań, w którym nie tylko wszędzie wstyd pójść, ale i samemu się go nie lubi.

*

Ja wiem, co wieczór w teatrze to samo, co wieczór na widowni zawsze są te od ciąży. Siedzę tu sobie, gadam, a tam jedna do drugiej: „Ale ona w ciąży była? W ciąży ją rzucił? Z dzieckiem?” Albo jeszcze „w stanie błogosławionym”. No jak dla kogo błogosławionym.

I mogę sobie mówić, że wcale nie w tym rzecz, że ja w ciąży nie byłam, że za dużo już upłynęło od ostatniego dnia, kiedy widziałam się z R. i kiedy, z twarzą dopiero co obeschłą od płaczu, patrzyłam w górę na jego głowę, okoloną czarną aureolą loków, i na te rzęsy, a potem wróciłam do mojej służbówki, zanim jeszcze skończyło się moje wychodne, i miałam go cały czas pod powiekami, tę długą, smukłą twarz w czarnej aureoli, nieświętego R. Czym innym byłam brzemienna, pustymi ramionami, pustymi snami, dniami jałowymi, to było moje dziecko, to była moja ciąża, niewidoczna dla nikogo, ale zżerająca mnie od środka.

Wszystko to sobie mogę mówić, że do wody dziewicą nie szłam, ale i nie szłam z bachorem, im to nic, a nic nie przeszkadza, one już weszły na swój

ulubiony temat, już poszeptują, już dzwonią przy każdym zdaniu bransoletkami, jakby stawiały kategorię kropkę. Są w dwóch odmianach, jedne warte drugich.

Te pierwsze się litują, wzruszają, za serce się łapią, do torebek po pastylkę sięgają, po chusteczkę, łzę uronią, że biedactwo, że to dzieci mają dzieci, że gdzie byli rodzice i gdzie była antykoncepcja.

Te drugie się oburzają, że taka co w ciąży się utopi, to najgorsza, bo przecież jak już się musiała topić, to mogła donosić i oddać do przytułku, no i święta prawda, tylko zapomniało im się, że ten stan jest taki błogosławiony, że trwa aż dziewięć miesięcy, z czego przez kilka już z takim brzuchem, że nie idzie go ukryć, a wtedy pani Caron popatrzyłaby na mnie ze smutkiem, takim smutkiem dogłębnie zranionego, dobrego serca, powiedziałyby coś o cudzołóstwie i zawiedzionym zaufaniu, po czym dałyby mi kwadrans na spakowanie zawiniątka. I może jeszcze, żeby się poczuć szczególnie szlachetną, wcisnęłyby mi parę franków, jakie daje co niedzielę po mszy żebracze na schodach kościoła. W niedzielę dałyby jej mniej, odpisałyby sobie w pamięci.

A przez tych kilka miesięcy trzeba karmić i siebie, i ten brzuch, a brzuch nie popuści, brzuch nie da nawet zarobić tym, czym dziewczyna napytała sobie brzucha, brzuch musi mieć ciepło, musi mieć jakiś dach nad głową, bo stan błogosławiony trwa i trwa, że już dziewczyna ma tego błogosławieństwa po uszy, i tych kilka miesięcy dłuży się tak, że brzuch już nigdy z siebie nie wyda tego, co miał wydać, tylko razem z dziewczyną trafia do długich, zasypywanych po kawałku mogił dla ubogich, czyli na jedno wychodzi.

Ale te panie, jak wszystkie panie Caron, uważają, że wcale nie na jedno. One mają wrażliwe serca i one jednak z całą stanowczością chciałyby

powiedzieć, że to zupełnie co innego, więc dziewczyna powinna chodzić z tym brzuchem, coraz chudsza, w niepranych ubraniach, popychana, przemykać się zaułkami, wyżebrać coś, żeby potem przysnąć w noclegowni, w wolnej, bardzo wolnej, trwającej przez kolejne tygodnie tego – jakże błogosławionego – stanu spirali, żeby skutek był wprawdzie ten sam, ale zgodny z wrażliwymi sumieniami wszystkich pań Caron tego miasta, tego świata.

Jestem tylko młoda i głupiutka, ale swoje wiem.

*

Jakaś odlewniczka powiedziała ponoć, że kiedy zdejmowano mi maskę, nie miałam więcej, niż szesnaście lat.

Pozwolę to sobie potraktować jako komplement.

Powiedziała też, że byłam wtedy żywa, no i to już jest po prostu miód na moje serce, miód na moje nieruchome serce, miód na moją wstrzymaną pracę serca to jest.

A nie miałam więcej, niż szesnaście lat, ponoć ze względu na sprężystość skóry policzków.

Powiem jedno: żeby to wytrzymać, trzeba by mieć skórę jak nosorożec.

Teraz to każdy sobie może pójść do menażerii w Jardin des Plantes i obejrzyć takie dziwo, ja raz byłam, jak bona u pani Caron zachorowała i ktoś musiał zaprowadzić wszystkie trzy dzieci, a co przy okazji zobaczyłam, to moje. Nosorożca też. Ponoć jak Prusacy nam oblężyli Paryż, to i menażerii się dostało bombami. Ludzie już zjedli wszystkie dorożkarskie konie, potem psy i

koty, w najdroższych lokalach podawano polewkę na sznurach, więc przysła pora na menażerię, skąd za ciężkie pieniądze sprzedawano rzeźnikom kangury, antylopy, zebry. W drukarniach składano piękną czcionką i drukowano na równie pięknych kartonach nie mniej piękne jadłospisy: „Rostbef angielski z wielbłąda” , „Potrawka z kangura” , „Gicz wilcza na dziko” , „Struś pieczony *à l'Allemande*” . Oba uwielbiane przez paryżan słońce, Kastora i Polluksa, na których grzbiecie jeździło całe pokolenie dzieci, kupił rzeźnik z bulwaru Hausmanna. Ale były takie niesmaczne, że nosorożca już nikt nie kupił. I stoi tam dalej, obojętny, przeżuwa.

No ale kiedyś to nie było, że tak na byle zawołanie można oglądać. Pierwszego nosorożca, którego sprowadzono do Europy, sułtan indyjski przysłał królowi Portugalii. Opłynął sobie ten nosorożec całą Afrykę na statku z pieprzem i wylądował w Lizbonie, chodził w królewskim orszaku obok jaguara do polowań i dwóch słoń, i pewnie strasznie go to nudziło, ta praca: chodzić i chodzić. Mnie nudziła. Do rzeźnika po mięso na pieczeń, do pralni, z pralni, do apteki, dzień w dzień. Bo do Jardin des Plantes oglądać menażerię to tylko raz przez te wszystkie lata.

I nudziłby się tak dłużej, ale król portugalski cały czas robił prezenty papieżowi, posłał mu wcześniej białego słońca, a teraz i nosorożca, w nowiutkiej obroży z zielonego aksamitu w kwiatki. Zapakowali go do ładowni pod pokładem, łańcuchami przykuli, za każdą nogę, żeby się nie rzucał na marynarzy, tylko stał spokojnie, i pozęglowali. Król francuski kazał im przybić do brzegów w Marsylii specjalnie po to, żeby sobie nosorożca obejrzyć. Ale kiedy przecinali cieśninę przy Porto Venere, złapała ich straszliwa burza i cały

statek zatonął. Truchło, spuchnięte, fale wyrzuciły setki kilometrów dalej, gdzieś pod Niceą, więc Portugalczycy zabrali je, powieźli do Lizbony, kazali sprawić, wypchać słomą i oto nosorożec popłynął do Rzymu po raz drugi, już nie przykuty, tylko pewnie zamknięty w jakiej wielkiej skrzyni. Nikt nie musiał schodzić pod pokład i go karmić, poić, wynosić łajno, był to nosorożec łatwy w obsłudze. A jednak w Rzymie się nie spodobał, nie zrobił furory, nie interesowali się nim już artyści ani filozofowie, postawiono go tylko na jakimś strychu, aż rozpadł się na kawałki, siedlisko kurzu i pluskiew.

Ale myślę o tym, jak pod Porto Venere stoi na dolnym pokładzie w tej swojej zielonej obroży, aksamitnej, w kwiatki, jak czuje całym ciałem kołysanie, jak skrzypienie desek kadłuba przechodzi mu drżeniem przez każdą z przykutych nóg, a są to nogi jak kłocce, wiem, bo widziałam, jakem prowadziła dziecka pani Caron do menażerii w Jardin des Plantes, ten jeden raz; jak wszystko wokół wylatuje w górę na potężnej fali, to znów opada gwałtownie, jakby burza odsłoniła dno, jakby zdarła morze aż do samego piasku, a on nie może nic zrobić, tylko muczeć, piszczeć, rzeć... czy co tam taki nosorożec robi, nie wiem, nie słyszałam w menażerii, bo tylko stał i przeżuwał w milczeniu... i czekać w ciemnościach, aż woda ostatecznie rozbije kadłub, aż wleje się do ładowni, podchodząc mu do nóg, do kolan, do kłębu, aż zatopi go kompletnie i wciągnie w głąb, a potem rzuci, wzdętego, z jedną nogą wciąż zakutą w zerwany łańcuch, jak zepsutą zabawkę gigantów, na plażę pod Niceą.

*

Mówiłam, że dużo myślę, nie? To właśnie na przykład o takim nosorożcu, jak tonie. Albo o tej aptekarzowej, która koniecznie chciała zobaczyć martwą

dziewczynkę z Rue de Vertebois. Czasu mi nie brakuje. To znaczy trochę myślę, a trochę jakby to było myślane za mnie, jakbym w ogóle była myślana. Ja nie wiem, czy ja się wypowiadam w sposób jasny w tej całej ciemności? Jestem zrozumiała? Sala mnie rozumie, pani w trzecim rzędzie z boku mnie rozumie? To nie są łatwe rzeczy, ale też nikt nie obiecywał, że będzie łatwo być nieżywą.

O nieżywych mówi się, że zasnęli, ale to nie tak. Co ja zresztą będę... wszyscyście tu spali, ale martwy to nikt nie był. Tutaj to nie będzie, że tak powiem, platformy porozumienia między nami, proszę państwa żywych. Bo ostatecznie ja jestem tu, nieruchoma, na tej zimnej płycie, a każde z was niby spokojnie siedzi, a ten się ruszy, tamten kaszlnie, ta potrząsa bransoletkami co pięć minut, i tak jest ze wszystkim, niby spokojni, niby cisi, a to z prawdziwą ciszą i spokojem nie ma nic wspólnego.

To znaczy wiem, ja niby też się ruszam, o, rękę podniosę, o, głowę przekrzywię, proszę, ale są to co do jednego ruchy pozorne, tak naprawdę moje ciało nie przewodzi sygnałów, moje mięśnie nie kurczą się i nie rozkurczają, serce nie pompuje krwi, jestem jak kawałek malowanego drewna, leżący na kamiennej płycie w kostnicy miejskiej. Nie do końca na razie to rozumiem, ale mam jeszcze mnóstwo czasu, żeby zrozumieć, nie spieszy mi się.

Człowiek by się tu zupełnie jednak zanudził, gdyby nie ten pomywacz, który chodzi sobie między nami i mamrocze, zagaduje to do mnie, to do tego z raną uda, to do tej z warkoczem, a to o życiu opowiada, a to jakieś swoje sprawy z żoną... bo miał żonę, ale go odumarła była, oczywiście tu jej nie przynoszono, bo przecież wszyscy wiedzieli, co to za jedna, nikt nie musiał identyfikować, i tak sobie myślę, że on niby z nami gada, a tak naprawdę to z nią. Że czasem to

nawet i do mnie, osobiście, coś powiedział, a ja się wstydzę, jakbym cudzą rozmowę podsłuchiwała.

Szczególnie jakoś sobie upodobał mówienie o snach. Pewnie, bidok, cierpi bezsenność, niejednego starego to trapi, u nas na wsi kum Bodin na przykład dzień w dzień narzekał, że oka nie zmrużył. A pomywacz przecie na nocki przychodzi i nigdy nie widziała, żeby przysnął. I to nie dlatego, że się przy nas boi oko zmrużyć, choć ja powiem, że za życia to bym się okrutnie bała, po prostu nie przysypia. Drepcze między nami, czasem coś zamiecie, czasem szyby przetrze, żeby następnego dnia publika mogła na nas przez czyste patrzeć, bo przecież jak tak cały czas przylepiają do niej nosy i palcami wskazującymi pykają, to cała jest brudna. A w świetle elektrycznym szczególnie to widać. Chodzi tak zatem, chodzi, i opowiada. O sennikach chaldejskich i egipskich, co znaczy, że się we śnie widziało czarnego psa, a co – że płonące ognisko, co przyszłość przyniesie temu, któremu się przyśniło, że zęby wszystkie postradał, a co tej, do której we śnie gadała sowa.

Ja myślę, że on się nawet nie pomiarkował, że nikomu z nas przyszłość nie przyniesie już niczego, że nie interesuje nas, co nas spotka jutro, a co pojutrze, że nie dbamy o żadne horoskopy, bo Słońce z całym Zodiakiem już nie dla nas się obraca. Mówi do nas, jakby mówił do żywych. Ale nie mamy mu tego za złe.

Czasem opowiada sny własne: zgięty we dwoje szoruje jakąś kamienną płytę, z której zabrano wcześniej nieboszczyka, i rozważa, co też mógł oznaczać sen, w którym przyszła do niego żona. A ta żona przychodzi do niego chyba w każdym śnie i wiem, że jedno to tylko oznacza, w każdym senniku świata,

egipskim, Chaldejskim, Bretońskim i Owerniackim: że ją kocha i za nią tęskni.

Albo zbiera różne cudze sny, czyta gdzieś, podsłuchuje może, i opowiada nam co dziwniejsze. O snach proroczych; o widzeniu we śnie, co robi ktoś odległy o wiele kilometrów, i to w najdrobniejszych szczegółach; o snach zdradzających nieznaną śniącemu tajemnicę.

Najbardziej zaś sobie upodobał sen pewnego lekarza i tak mi się zdaje, że opowiada go szczególnie często właśnie mnie, że mruczy go sobie pod nosem akurat, kiedy szoruje moją szybę albo, przełożywszy mnie na chwilę, tę płytę kamienną, na której leżę.

No więc idzie to tak, że ten lekarz był chory i zasnął, znużony gorączką, obok matki, czuwającej przy jego łóżku. I śnił, że znalazł się w czasach rewolucji, że oglądał jakieś sceny straszliwych okrucieństw, aż zawezwano go przed trybunał, gdzie siedzieli Robespierre, Marat, i ci wszyscy inni, co ich w tej chwili nie pamiętam, i musiał tam zeznawać, bronić się, ale i tak skazali go na śmierć, choć nie wiedział nawet za co... przez wielkie tłumy powiedli go na egzekucję, wprowadzili na szafot, pod gilotynę, kat przywiązał go do takiej specjalnej deski, opuścił pod ostrze, i wtedy ostrze zjechało, a on obudził się, przerażony, czując, że oddzieliło mu głowę od ciała... dopiero po chwili się połapał, że spadł na niego zagłówek łóżka i uderzył go w szyję, dokładnie tam, gdzie spadłoby ostrze gilotyny. A to znaczy, że w tej króciutkiej chwili, między uderzeniem a obudzeniem się, jego mózg, żeby mu wytłumaczyć nagły cios, zdążył opowiedzieć całą długą i szczegółową historię, pełną miejsc i zdarzeń, i ludzi w sukniach i perukach, frakach i czepcach, mózg opowiedział mu więzienną celę z posłaniem ze zgniłego siana, salę trybunału, stół, rząd sędziów

jak wyciętych z wypisów szkolnych do historii, terkot wózka po bruku, kolejne stopnie, wiodące na szafot, gest ręki kata, i tak aż po błysk słońca na spadającym ostrzu.

*

I możecie się śmiać ze mnie, że jestem głupia, ale ja naprawdę nie wiedziałam. Serio. Nie miałam pojęcia, nie rozumiałam, czemu pomywacz mi to mówi. Za pierwszym razem słuchałam nawet z ciekawością, za drugim z nieco mniejszą, potem wpuszczałam jednym uchem, a wypuszczałam drugim. Młoda jestem, sklerozy nie mam, to nie zapomniałam od pierwszego razu, nie?

No naprawdę, możecie się śmiać, nie wezmę tego do siebie, bom się rzeczywiście zachowałam, jak to u nas mówią, jak król kanarków. W sensie że głupio. Że jak głupia. Bo on mi to mówił, a ja nic. Leżę. Myślę sobie o różnościach. I dopiero teraz, jak to wam tak szczegółowo wszystko opowiadałam, to coś zaczęło mi świtać. Gdyby nie to, że mam zupełnie wstrzymaną pracę serca, to pewnie by mi teraz waliło jak młot.

Bo im dłużej wam opowiadam, co opowiada mi pomywacz, tym bardziej staje się jasne, po co to robi, po co mi, po co mnie właśnie to robi. I zdaje mi się, z początku powoli, potem coraz prędzej, że się rozdaję na dwie siebie, w dwóch różnych czasach i miejscach. Więc jestem ta, która leżę tutaj, w wysokiej, ciemnej sali, i ta zupełnie inna; mój mózg operuje w dwóch różnych czasach, operuje niezwykle precyzyjnie, w skupieniu, jak wielki chirurg, skalpel, piła, skalpel, a ja czuję, jak rozpruwam się na dwoje, tę nierozumiejącą i tę rozumiejącą. Rozumiejąca stopniowo zostawia nierozumiejącą w tyle, biegnie

ku daleko idącym wnioskom, ku tej niewątpliwie nieatrakcyjnej prawdzie.

Jeszcze nie do końca dowierzam, ale rozumiem, że wcale nie leżę na kamiennej płycie w paryskiej Kostnicy Miejskiej, wystawiona na oczy przychodzących codziennie gości, czy to ubrana, czy to naga, z wiszącym nad głową zawiniątkiem ubrań, które zabrałam w tak zwaną ostatnią podróż. Nie.

Ja w tę podróż właśnie wyruszyłam. Ja, wciąż ubrana w sukienkę z błękitnego samodziału, nieco już znoszoną, w trzewikach z przytartymi noskami, w koszuli ściągniętej pod szyją, wpadłam właśnie w wodę z pluskiem znacznie cichszym, niż mogłam przypuszczać, i, jak w zwolnionym tempie, idę na dno, a mózg funduje mi tę ekstraordynaryjną wycieczkę.

Rozciąga sekundy w minuty, godziny, dni. Nie ma żadnego pomywacza, mój własny mózg ulepił go w tych sekundach, dał mu żonę nieboszczkę, przypisał wszystkie zajęcia, zwyczaję, jego mamrotanie pod nosem, każdy włoszek jego skołtunionej brody, nawet sposób, w jaki chodzi, przegięty lekko w lewą stronę. Nie ma tych cowieczornych spektakli, schodzenia się publiczności, szeleszczenia torebkami cukierków na kaszel, pobrzękiwania bransoletkami, wreszcie rozchodzenia się publiczności; nie ma tej sali, ani tych reflektorów, nie ma pierwszego rzędu, drugiego rzędu, trzeciego rzędu, nie ma żadnego zupełnie rzędu ani nikogo z was, nie istniejecie, nie istnieje pani z tyłu sali, która chciała wiedzieć, czy jestem w ciąży, ani ta bliżej, która się skurczyła, kiedy mówiłam o byciu obślinianym manekinem, nie ma jeszcze tego manekinu, ani jednego z tysięcy sztuk, żadnego z nich nie wyprodukowano i nikt w całym wielkim Paryżu nie uczył się na żadnym z nich, jak robić oddychanie usta-usta, więc idę na dno, a po bokach widzę ławice srebrnych bąbelków, które lecą ku górze

znacznie szybciej, niż mnie ciągnie do dołu. I w tej brudnej, miejskiej Sekwanie, po której wyżej suną barki z węglem, z obrokiem dla koni, z opałowym drewnem i tarcicami, w Sekwanie ciemnej, bo skoczyłam z mostu w środku nocy, ale i ciemnej, bo złachanej, ciężkiej od sadzy z kominów, od szlamu z rynsztoków, nagle otwierają się przejrzystości. O, mózgu, jak dobrze mi robisz, nie przestawaj, drogi mózgu, wirujący na najwyższych obrotach! Zamiast niedalekiego mułu, wyściełającego dno, widzę głębokości niespodziane, małe, kolorowe rybki, podwodne gaje nadzwyczajnych roślin, zatopione galeony, wokół których leżą, jak przewrócone kręgle, spiżowe armaty z królewskimi herbami, kości marynarzy, kufry złotych dublonów; tu i tam migają długie, srebrnozielone ogony: to przemykają syreny, niosąc w dłoniach piszczałki, które sobie wystrugały z piszczeli majtków.

Byłoby ciemno jak oko wykol, nic bym tu nie zobaczyła, gdyby nie to, że wszędzie coś świeci, rozjarza te mroki jak podmorskie świetliki w noc letnią: to pierścionki, rzucone do Sekwany przez zdradzone dziewczyny, zawiedzione dziewczyny, odepchnięte dziewczyny, przez służące z Bretanii, przez młode praczki z przedmieść, przez modystki i gryzетки, przez smukłe łanie z *corps de ballet*; a są to tanie obrączki z tombaku i odpustowe pierścionki ze szklanym oczkiem, które dawno już się poluzowało, a może i wypadło, co przecież było złym omenem, ale one tego omenu nie słuchały, miały na omeny zamknięte oczy i uszy, nie przyjmowały żadnych podpowiedzi świata, szły za tym swoim R czy M, czy P, czy S, gubiły go z oczu, aż stawały na moście, i stały, stały, nie mogąc się pogodzić z tym, co – wiedziały dobrze – dawno już się dopełniło, aż w końcu zsuwały z palca ten odpustowy pierścionek, tę obrączkę z parą wygrawerowanych imion, i rzucały do wody, by teraz wszystkie te kółka

świeciły mi pod wodą niezwykłym blaskiem, by wskazywały mi drogę. Zstępuję coraz niżej i wiem, że gdzieś przede mną znajdę R, śniącego, wyciągniętego całym swoim białym ciałem na białym piasku, z rozpuszczonymi lokami, falującymi w głębokim nurcie jak najpiękniejsze wodorosty świata, wiem że czeka tam na mnie – i tak, jest, ostatkiem sił, bo w płucach nie zostało mi już nic a nic powietrza, wyciągam ramię, żeby zbudzić go, muskając opuszkami palców policzek, tuż pod linią długich rzęs, i wtedy od dłoni idzie do mózgu ostatni meldunek, że to, czego dotykam, to zimne i czarne dno.